



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Stanisław Wcisło

Wojenne dzieciństwo przy granicy

Wspominając okres drugiej wojny światowej po tylu latach, nie sposób w krótkim tekście opisać te wszystkie wydarzenia, jakie się nasuwają. Pozwolę sobie tylko wybiórczo opisać niektóre. Takie, które najmocniej zakorzeniły się w mej pamięci.

Wrzesień 1939 roku, mimo iż miałem zaledwie 9 lat, pamiętam doskonale. Tak jakby to było zaledwie kilka dni temu. Mieszkaliśmy wówczas we wsi Ostrowy nad Okszą, w powiecie kłobuckim, gdzie ojciec posiadał tartak parowy. Od granicy niemieckiej, w prostej linii, dzieliła nas odległość tylko około trzydziestu kilometrów.

Ostatnie dni sierpnia, ciepłe i słoneczne, były dla nas dosłownie niemal rajem. Z wielką radością buszowaliśmy po laskach i zagajnikach, rosnących nieopodal naszego domu, w których działy się cudowne rzeczy. Wszędzie pełno było żołnierzy, pieszych i na koniach, którzy rozwijali linie telefoniczne, kopali doły strzeleckie lub pędzili na koniach nie wiadomo gdzie, by znów powrócić i w postawie zasadniczej zdawać raport kómuś z oficerów, których było tu sporo. Od pewnego czasu stacjonowała tu bowiem Wołyńska Brygada Kawalerii, pod dowództwem płk Juliana Pobóg-Filipowicza oraz 11 Batalion Strzelców Pieszych z Łucka. A my, to znaczy dzieci, obserwowaliśmy to wszystko, gdyż nikt nam tego nie zabraniał. Starsi ciągle wymieniali jakieś zdania, do których nie przywiązywaliśmy wagi, chociaż ciągle ktoś mówił o wojnie. Również w domu wszyscy zastanawiali się, co należy robić, jeśli wojna wybuchnie. Rodzice ze starszym rodzeństwem czynili jakieś przygotowania. Pakowali rzeczy, które następnie znoszono do piwnicy.

Pierwszy wrzesień. Było jeszcze ciemno, kiedy zbudził nas ryk samolotu lecącego bardzo nisko nad domami. Okazało się, że był to samolot niemiecki, do którego nikt nie strzelał. Jego lot był dużym zaskoczeniem – tak dla żołnierzy, jak i ludności cywilnej. Ten przelot zbudził całą wieś i ożywił działalność wojsk stacjonujących w jej okolicach. Wkrótce też dało się słyszeć huk wystrzałów armatnich, które dobiegały do nas od strony zachodniej. Ojciec zebrał nas w mieszkaniu i powiedział: „Rozpoczęła się wojna. Nie wiem, co się stanie, ale musimy być dzielni i zawsze wzajemnie sobie pomagać. Teraz wszystko jest w rękach Boga”. Ponieważ był to pierwszy piątek miesiąca, wszyscy udaliśmy się na nabożeństwo do kościoła. Chyba jednak nikt nie mógł należycie się skupić, gdyż częste przeloty samolotów oraz strzelanina do nich, prowadzona z karabinów maszynowych, nie pozwalały na to. Po zakończonym nabożeństwie, kiedy wracając doszliśmy do szosy, ta była już pełna pojazdów – tak wojskowych, jak i furmanek chłopskich, którymi uciekali mieszkańcy wiosek położonych bardziej na zachód od naszej miejscowości. Wszyscy mówili, że nawet, jeśli Niemcy wejdą, to dojdą tylko do Warty, dlatego też starali się, by jak najszybciej tam dotrzeć, mając nadzieję, że po jej przekroczeniu będzie już spokojnie.

Wróciwszy do domu, po spożyciu śniadania, zaczęliśmy również przygotowywać się do ucieczki. Z drogi, przebiegającej obok domu, słychać było tętent galopujących ułanów oraz maszerujących niewielkich oddziałów piechoty, która okopywała się w pobliskich lasach oraz polach.

Około godziny 9 nadleciała eskadra samolotów, które zaczęły bombardować i ostrzeliwać naszą miejscowość, co spowodowało wielkie zamieszanie oraz grozę wśród mieszkańców. Wybuchy bomb były przyczyną zapalenia się kilku budynków mieszkalnych i gospodarczych, co sprawiło jeszcze większy zamęt. O ratowaniu nie było mowy. Straż pożarna już nie istniała, a poza tym każdy myślał tylko o sobie i swoich najbliższych. Bombardowanie powtarzało się co jakiś czas. W pewnym momencie ojciec, z którym obserwowaliśmy te wydarzenia, krzyknął głośno byśmy upadli na ziemię. Zauważył bowiem, że jeden z samolotów obniżył swój lot i zrzucił dwie bomby na pomieszczenia tartaczne należące do ojca. Na szczęście obie wylądowały poza nimi. Jedna z bomb wybuchła kilkanaście metrów poza ogrodzeniem – nie czyniąc żadnych szkód. Druga natomiast wbiła się w kartoflisko i nie wybuchła.

Około 11 ojciec postanowił opuścić dom. Wszyscy mieliśmy już przygotowane bagaże, które mieliśmy zabrać ze sobą. Do pobliskiego lasu, którym ojciec chciał nas prowadzić, odległość wynosiła w prostej linii, przez pola, około pół kilometra. Uszliśmy jednak zaledwie może około 50 metrów, kiedy znów pokazały się samoloty i nad nami zaczęły gwizdać kule. Przeleźliśmy chwilę w bruzdach kartofliska, a gdy odleciały, ojciec zarządził powrót do domu. Oświadczył, że wyjdziemy pod wieczór, kiedy nasilenie ataków lotniczych zapewne osłabnie. Przewidywania ojca okazały się słuszne, gdyż po południu ilość samolotów na niebie znacznie się zmniejszyła, co zapewne było skutkiem wzmocnionej obrony przeciwlotniczej.

Niemal w samo południe jeden z bombardujących samolotów runął na ziemię, gdyż seria z karabinu maszynowego obcięła mu jedno skrzydło. Widok spadającego samolotu znacznie poprawił nastrój społeczeństwa i żołnierzy, którzy teraz grupkami skupiali się na podwórkach gospodarstw. Również i po naszym podwórku kręciło się ich kilkunastu, strzelających do nadlatujących samolotów.

Około 18 ojciec podjął decyzję opuszczenia domu. Podzieliliśmy się na dwie grupy. Jedną pieszo prowadził szwagier przez pobliskie zagajniki do lasu, gdzie mieliśmy się spotkać w umówionym miejscu. Drugą grupkę stanowiły zaledwie 3 osoby. Ojciec – prowadzący motocykl, na tylnym siodelku ja – trzymający przed sobą 4-letniego siostrzeńca. Wprawdzie jazda motocyklem była znacznie przyjemniejsza aniżeli piesza wędrówka, jednakże byliśmy bardziej narażeni na ostrzelanie z samolotów. Poza tym, kiedy już wyjechaliśmy na szosę okazało się, że trudno się po niej poruszać, gdyż sunął nią sznur wozów z uciekinierami oraz różne oddziały wojskowe. Wszyscy jechali w nieznaną stronę. Przydrożne rowy również przedstawiały przykre widoki. Pełne były odpoczywających uciekinierów, rannych żołnierzy czekających na sanitariuszy oraz porzucanych różnych przedmiotów.

Po dotarciu do lasu ojciec skręcił w pierwszy dukt, a następnie przez las, omijając skupiska drzew i krzewów, jechał na przelaj, gdyż znał ten teren doskonale. Ale i las nie był wolny od różnych przeszkód. Często napotykał się na okopy strzeleckie, które co dopiero wykopano i już opuszczono. Co chwilę spotykaliśmy też grupki uciekinierów, którzy starali się nieco odpocząć, a także porzucane wozy, czy porzucony sprzęt wojskowy. Wszystko to wywoływało niesamowite odczucia, które budziły przestraszonych. Najbardziej jednak przeraził mnie widok biegnącego na oślep konia, którego głowa zwisała, a z karku tryskała kaskada krwi. Ojciec powiedział, że prawdopodobnie został trafiony jakimś większym pociskiem i krwawiąc biegł jeszcze z impetem. Ludzie uciekali na jego widok. Ojciec także skręcił w bok, by nie spowodować zderzenia.

Wreszcie, przesyleni tymi niecodziennymi widokami, dotarliśmy do umówionego miejsca, gdzie już nas oczekiwano. Okazało się, że pierwszy etap naszej wędrówki był dla nas szczęśliwy. Nikt nie doznał żadnego uszczerbku, tak na zdrowiu, jak i w posiadanym bagażu.

Tak wyglądały wydarzenia pierwszego dnia wojny, a które tak mocno zostały zakodowane w mej pamięci. Ciągle w oczach i w pamięci mam pierwszy przelot niemieckiego samolotu, który rykiem swych silników zbudził nas tak wcześnie rano, huk armat, jaki towarzyszył nam od początku bitwy, a także widok ułanów pędzących na koniach, oraz maszerujących na linię frontu zmęczonych piechurów. W trwałej pamięci została też słynna bitwa, stoczona pod Mokrą, a która miała miejsce zaledwie kilka kilometrów od naszego domu. Także nasza ucieczka, widok palących się zabudowań, krzyki rannych, leżące trupy i dreszcze grozy, jakich doznaliśmy, kiedy zetknęliśmy się po raz pierwszy z niemieckimi żołnierzami, którzy z karabinami w rękach, w beretach z trupimi czaszkami, spoglądali na nas z pobliskiego czołgu. To wszystko pozostało doskonale utrwalone w mej świadomości. Nie będę jednak tego opisywał. Pragnę, bowiem podzielić się tylko wspomnieniami z tzw. dziecięcej „działalności patriotycznej”, w okresie okupacji i to też tylko wybiórczo, gdyż trudno opisać całość, z której mogłaby powstać ciekawa powieść dla młodzieży.

Po zajęciu naszej miejscowości przez Niemców znaleźliśmy się na granicy Rzeszy, w okręgu zwanym Warthegau, tuż przy granicy z Generalną Gubernią, od której oddzielało nas zaledwie 6 kilometrów pasa lasów. Były więc możliwości kontaktów ludności z jednej i drugiej strony granicy. Legalnie – mając odpowiednią przepustkę, wydaną przez władze niemieckie, lub nielegalnie, przechodząc przez tzw.

„zieloną granicę”, narażając się na kary ze strony władz niemieckich, jeśli przechodzący został ujęty przez służbę graniczną. Jednak, mimo różnych kar – od bicia szpicrutą, poprzez areszt, do nawet śmierci przez zastrzelenie – nielegalne przekraczanie granicy było często stosowane i wykorzystywane zwłaszcza w powszechnie uprawianym przez tzw. „szwarcowników” handlu – szczególnie produktami spożywczymi.

Wychowywano nas w duchu patriotycznym – tak w szkole, jak i w domu zwracano na to zawsze szczególną uwagę. Tak, więc wzorując się na rodzicach oraz nauczycielach, a także innych osobach i my również pragnęliśmy w jakiś sposób włączyć się w działalność związaną z odzyskaniem wolności dla naszej Ojczyzny.

Miałem już nieco pojęcia o działalności harcerstwa, z którym zetknąłem się przed wybuchem wojny, więc zaraz po ustaniu działań wojennych rozpoczęliśmy zbiórki mego zastępu. Jednym z ulubionych miejsc naszych spotkań był spalony niemiecki czołg. Właściwie trzy czołgi, które stały na cmentarzu parafialnym, zniszczone przez polski samolot, który spalił je tylko jedną bombą w dniu 2 września – w czasie zajmowania Ostrów przez wojska niemieckie.

Przebieg walk na terenie tej miejscowości przekazał nam znajomy sąsiad, który jako inwalida, niemogący się poruszać, nie uciekał wraz z innymi przed wkraczającym wojskiem niemieckim, lecz obserwował wydarzenia siedząc w wykopanym dołku na wzgórku, nieopodal swego domu.

Tematem pierwszych zbiórek były oczywiście świeże działania wojenne, dzielenie się wrażeniami oraz uwagami, jak my byśmy postąpili w określonych sytuacjach. Śpiewaliśmy również różne wojskowe i harcerskie piosenki, jakich nauczono nas w szkole – myśląc, że nikt nas nie słyszy. Tak odbyliśmy kilka spotkań, aż pewnego dnia wrzawę usłyszał przechodzący obok cmentarza miejscowy żandarm. Zaintrygowany odgłosami podszedł do czołgu. Uniósł klapę wjazdu i zobaczywszy nas, głośnym krzykiem nakazał nam wyjść. Po sprawdzeniu, czy wszyscy wyszli z wnętrza, zabrał nas na posterunek, gdzie po kilku pytaniach – co tam robiliśmy i za czym zezwoleniem tam weszliśmy – pokrzykując na nas, za karę kazał nam sprzątać teren wokół posterunku, co zajęło nam kilka godzin. Po skończonej pracy zakazał nam wchodzenia do czołgów mówiąc: „Następnym razem, jak was tam złapię, to zamknę w areszcie. Bez jedzenia i picia”. Mówił całkiem dobrze po polsku, gdyż jak się później dowiedzieliśmy, pochodził ze Śląska.

To było nasze pierwsze spotkanie z okupantem i karą, jaką od niego otrzymaliśmy. Przez pewien czas zaniechaliśmy wypraw na cmentarz, gdyż rodzice – po poznaniu zdarzenia – również zabronili nam wchodzenia do czołgów. Organizowaliśmy więc spotkania w krzakach nad rzeką, gdzie rzadko ktoś przechodził. Snuliśmy różne plany, w jaki sposób dokuczać wrogom, jakim byli żołnierze niemieccy. Wygrażaliśmy przelatującym samolotom, życząc im, aby się rozbiły. Ułożyliśmy nawet dwuwiersz, który wykrzykiwaliśmy, recytując głośno, kiedy w powietrzu zaczęły ukazywać się także samoloty alianckie: „Jeśliś niemiecki, żebyś spod (spadł), a jeśliś angielski, zdobądź lot”. Machaliśmy przy tym rękami i podskakiwaliśmy.

Były jednakże i poważniejsze wybryki. Bawiąc się pod mostem, przez który często przejeżdżali pojedynczy żołnierze, na ich widok wyskakiwaliśmy spod mostu i wyciągając rękę, w geście hitlerowskiego pozdrowienia, wołaliśmy: „Kaj Hitler!” Pewnego dnia wyskoczył kolega z takim właśnie „pозdrowieniem”. Okazało się, że przejeżdżający na rowerze żołnierz dobrze rozumiał nasz język. Zatrzymał się, przywołał naszego kolegę i pompką od roweru sprawił mu dość mocne lanie. Przez wiele dni chłopak pokazywał nam siniaki na plecach. Przypadek ten nieco ostudził nasze „patriotyczne” poczynania. Również rodzice zakazywali nam takich zabaw, gdyż coraz wyraźniej widać było bezwzględne postępowanie władz niemieckich. Za wywieszenie biało-czerwonej chorągiewki w dniu 3 maja, aresztowano kilku młodych chłopców, których wywieziono na przymusowe roboty do niemieckich gospodarzy.

Skończyła się bezkarność, jednakże nie skończyła się nasza działalność. Stawaliśmy się coraz rozsądniejsi, w czym pomagali nam także starsi, którzy nieraz wykorzystywali nasze dziecięce zabawy do własnych, poważnych celów. Jednym z takich zadań było odwrócenie uwagi żandarmów od wioski.

Kiedyś przez Ostrowy miał przemaszerować większy partyzancki oddział, z jednego rejonu lasów do tego drugiego. Chodziło o zapewnienie mu bezpiecznego pokonania otwartego terenu, przez który musiał przejść, by dostać się do drugiego lasu.

W związku z tą akcją, ojcu udało się kupić większą ilość „strzelających zapalek”, tzw. „Kanonenszlag” – coś w rodzaju dzisiejszych petard odpustowych – w firmowym sklepie, a na ich zakup wydano mu rachunek, bez żadnych pytań ze strony sprzedawcy. Ojciec, bowiem znany był tam dobrze, jako prowadzący legalnie sklep w naszej wiosce.

Tu muszę wyjaśnić, że pod koniec października 1939 roku tartak nasz został doszczętnie zniszczony, przez celowe podpalenie w kilku miejscach naraz. Aby w jakiś sposób utrzymać rodzinę, ojciec podjął się prowadzić w naszym domu sklep o różnym asortymencie, z którego korzystała cała okolica, a także służba graniczna z Nowego Folwarku.

Pewnego dnia ojciec dał nam kilka pudełeczek tych „strzelających zapalek” i powiedział, że wraz z kolegami możemy zabawić się w wojnę, ale tylko na terenie strzelnicy, która znajdowała się w lesie,

oddalonym około 2 kilometry od naszego domu i 3 kilometry od trasy przemarszu partyzantów – o czym oczywiście nie wiedzieliśmy.

Propozycja ojca nieco nas zdziwiła, a jednocześnie ucieszyła. Nie dociekaliśmy, skąd taka zmiana u ojca, który dotychczas przeważnie zabraniał nam takich zabaw. O właściwym powodzie, w którym odegraliśmy dość poważną rolę, dowiedzieliśmy się dopiero po zakończeniu działań wojennych. Jak również o przynależności ojca do ruchu oporu. Wprawdzie w domu dość często gościli jacyś panowie, ale sądziliśmy, że ich rozmowy z ojcem dotyczą kupna i zbytu towarów sklepowych.

Wróćmy jednak do naszej zabawy w wojnę. O wyznaczonej przez ojca porze z radością pobiegliśmy na teren strzelnicy, by nieco postrzelać. Zabawa rozpoczęła się od podziału naszej grupy na dwa oddziały, które miały walczyć przeciw sobie. Przygotowanie to zajęło nam nieco czasu, ale wkrótce odezwał się pierwszy gwizdek i rozpoczęła się „strzelanina”. Jak długo trwała ta „wojna” trudno powiedzieć, gdyż wszyscy byliśmy bardzo przejęci walką i jej wynikami. Dopiero głośne okrzyki grupy żandarmów, którzy nas otoczyli, uświadomiły nam przykrą sytuację. Zebrano całą naszą grupę i poprowadzono na posterunek, gdzie rozpoczęło się przesłuchanie. Przesłuchiowano nas pojedynczo, ale widocznie wszyscy zeznawali zgodnie z rzeczywistymi faktami, gdyż wkrótce nas wypuszczono, zakazując wstępu na teren strzelnicy. Wróciwszy do domu dowiedzieliśmy się, że ojca również wezwano na posterunek, gdzie musiał tłumaczyć się z tej naszej strzelaniny.

Ojciec, który doskonale znał język niemiecki, śmiało i rzeczowo odpowiadał na wszystkie pytania. Oświadczył, że wydał dzieciom zezwolenie na zabawę z racji moich urodzin, jednakże nie chciał robić zamieszania w wiosce, dlatego skierował nas na teren strzelnicy, na której strzelanie było rzeczą naturalną. Nie było, bowiem zakazu wchodzenia tam, jeśli nie było ćwiczeń strzeleckich. W ich trakcie na pobliskich drogach wystawiane były specjalne ostrzegawcze tablice. Natomiast nasza „amunicja” kupiona była legalnie, a ojciec posiadał rachunek. Wszystko więc odbyło się zgodnie z przepisami prawnymi. Komendant posterunku, z pochodzenia Austriak, który często przychodził do sklepu na piwo i pogawędkę, nie mógł ojcu zarzucić złamania przepisów. Był jednak nieco podenerwowany, że dzieci zrobiły niepotrzebny alarm, który zaangażował całą obsadę posterunku, ale żadnych konsekwencji w stosunku do ojca nie wyciągnął. Zwrócił tylko uwagę, aby takich zabaw już nie organizować, albo wcześniej z nim je uzgodnić.

Tak więc w tym przypadku wszystko skończyło się szczęśliwie. Jednakże represje ze strony okupanta były coraz większe. Coraz częściej kogoś z wioski aresztowano, wywożono do przymusowych robót – nawet dzieci od 9 lat. Rozeszły się pogłoski, że zabrane dzieci wcielano do zgrupowania Hitler Jugend, by kształtować ich charakter w duchu hitlerowskim. W związku z tym ojciec zaadoptował na schowek jedno z pomieszczeń piwnicznych, do którego wejście zostało zamurowane, aby się do niego dostać trzeba było prześlizgnąć się przez otwór wyspowy, usytuowany tuż pod oknem pokoju sypialnego. Znajdowało się ono tuż przed płotem ogrodzeniowym naszego podwórka, co utrudniało jego obserwowanie. Kilkakrotnie trenowałem takie nagłe przejście z sypialni do piwnicy, by nie zostać zauważonym – oczywiście pod baczny okiem ojca. Na szczęście nigdy nie musiałem przymusowo korzystać z takiej ewentualności. Ojciec w obawie, abym nie został wywieziony do Niemiec, załatwił mi pracę – jako pastucha krów u znajomego leśniczego, który posiadał obywatelstwo niemieckie ze względu na fakt, że jego żona była rodowitą Niemką. W rzeczywistości oboje państwo Franz – bo takie było ich nazwisko – byli dobrymi polskimi patriotami.

Zostałem więc pasterzem czy pastuchem, jak mnie różnie nazywano. Każdego ranka udawałem się do leśniczówki, odległej od mojego domu o około 1 kilometr. Zabierałem krowy – chyba było ich pięć – i pędziłem do lasu, gdzie na polanie była odpowiednia ilość trawy na pastwisko. Większego kłopotu z nimi nie miałem. Moja „praca” polegała jedynie na tym, by nie pozwolić krowom wyjść z lasu na pobliskie uprawne pola. Korzystając z mnóstwa wolnego czasu czytałem książki pochodzące z biblioteczki domowej lub pożyczane. Szczególnie ciekawe książki pożyczał mi pan inżynier Grodecki, wysiedleńiec z Poznania, który posiadał bogatą bibliotekę, ukrytą w młynie, gdzie przydzielono mu kwatery. Aby dojść do pomieszczenia, w którym znajdowały się książki, należało najpierw przejść przez kładkę przerzuconą nad zbiornikiem wody przeznaczonej do uruchamiania koła młyńskiego. Następnie po drabinie wejść do górnej części młyna, gdzie znajdowały się ruchome urządzenia młynarskie, poruszane za pomocą szerokich pasów. Nigdy tam nie wchodziłem, gdyż młynarz i inne osoby tam pracujące, zabraniały tego. Tłumaczyły, że grozi to poważnym wypadkiem, a nawet śmiercią. Faktycznie, jeden z pracowników młyna uległ takiemu właśnie wypadkowi, kiedy został porwany przez ruchome pasy i w następstwie mocno pokaleczony przez wirujące części młynarskich urządzeń. Do książek, ukrytych właśnie w tej części młyna, dostęp miał jedynie jego właściciel. Nawet pan Grodecki, kiedy chciał skorzystać z księgozbioru, zawsze szedł do niego w towarzystwie młynarza.

Miałem więc możliwości korzystania z książek, które wybierały mi osoby znające się na literaturze i wiedzące co mi podsunąć. Oczywiście zawsze przypomniano mi o właściwym zabezpieczeniu książki – nie tylko przed jej uszkodzeniem, ale przede wszystkim, by jej nikomu nie pokazywać oraz by jej nie czytać w obecności innych, którzy mogliby zgłosić to na posterunek żandarmerii. Bowiem czytanie

książek, a szczególnie tych o tematyce historycznej, było zabronione i groziło poważnymi karami, z więzieniem włącznie. Staralem się być pod tym względem ostrożny. Raz jednakże popełniłem nieświadomie błąd i zostałem w czasie czytania przyłapany przez Niemców. A było to tak. Kiedy miałem jakąś ciekawą książkę, chciałem przeczytać ją możliwie jak najszybciej. Wykorzystywałem więc każdą wolną chwilę. Najlepiej zaś czytało się wieczorem, kiedy już wszyscy, lub prawie wszyscy, spali. Była wtedy cisza i spokój, dzięki któremu łatwiej było się skupić i zrozumieć czytaną treść. Tak też było jednego zimowego wieczoru, kiedy wszyscy udali się na spoczynek. Ja zostałem sam w kuchni, gdzie było najcieplej. Do oświetlenia kuchni służyła lampa naftowa numer 3, czyli najmniejsza, zużywająca też najmniej nafty. O naftę było trudno i otrzymywało się ją tylko według limitowanego przydziału. Na jej oszczędność rodzice ciągle zwracali uwagę. Nim zapaliło się lampę, najpierw trzeba było zasłonić okno specjalną czarną roletą, by światło nie przenikało na zewnątrz. To był nakaz władz niemieckich, ze względu na możliwość bombardowania przez samoloty alianckie, które wówczas już masowo pojawiały się nad naszą miejscowością. Tak więc wypełniwszy ten warunek, siadłem sobie wygodnie na zbiorniczku z wodą wmontowanym w piec kuchenny, by mieć więcej ciepła i jednocześnie światła. Lampa zawieszona była na futrynie drzwi wiodących do pokoju, a znajdujących się niemal tuż przy piecu. Usiadłem i zatopiłem się w lekturze książki, którą trzymałem w rękach. Tytułu książki już nie pamiętam, jednakże treść dotyczyła obrony Lwowa przez dzieci i młodzież – Orleża Lwowskie. Treść książki tak mnie zafascynowała, że nie usłyszałem kroków za oknem i dopiero widok niemieckiego żołnierza stojącego już w drzwiach kuchni przywołał mnie do rzeczywistości. Za nim weszło jeszcze pięciu innych. Był to patrol graniczny, który sprawdzał również obrzeża naszej wioski, jako że był to szlak przemytników. Skracając sobie drogę do szosy prowadzącej do posterunku granicznego, często przechodzili przez nasze podwórko. Tak też było i tym razem. Ponieważ zauważyli w oknie słaby odbłysek lampy, stwierdzili, że jeszcze nie śpimy. Postanowili więc wejść na chwilę, by odpocząć i zagrzać się. Wejście tych nieproszonych gości było moją winą, bowiem zapomniałem sprawdzić czy drzwi zewnętrzne z podwórka do sieni są zamknięte na specjalnie zamontowany przez ojca hak. Wykonany z grubego pręta, zabezpieczał przed otwarciem drzwi. Nawet, jeśli nie były one zaryglowane na zamek. Stało się. Żołnierze bez proszenia weszli i bezceremonialnie rozsiedli się na krzesłach i ławie. Zapytawszy, czy wszyscy już śpią i usłyszawszy odpowiedź, że tak, zachowywali się stosunkowo cicho. Ja zeskoczyłem z pieca i stałem jak odrętwiały, trzymając książkę w ręku. W pewnym momencie dowódca patrolu zapytał mnie, co czytam. Nie mogłem wydusić z siebie głosu. Wtedy jeden z żołnierzy podszedł do mnie i wyjąwszy mi książkę z ręki zaczął ją przeglądać. Z uśmiechem oddał mi ją, mówiąc jednocześnie do dowódcy – „Ein Roman!” Granicznicy chwilę jeszcze posiedzieli, rozmawiając szeptem między sobą, aby nie budzić śpiących obok w pokoju rodziców i poszli na dalszy obchód. Tak to szczęśliwie dla mnie skończyła się kolejna przygoda czasu okupacji, za co gorąco dziękowałem Panu Bogu

Odnosnie żołnierza, który przeglądał książkę – wkrótce został zdegradowany, chyba ze stopnia feldfebla, do stopnia szeregowca. Za pomoc, jakiej udzielił kobiecie, która przechodziła przez granicę z towarem. Ponieważ poruszała się bardzo powoli, podwiózł ją do granicy motocyklem. Zauważył to inny granicznik i doniósł komendantowi. Za czyn ten właściwie groziło mu skierowanie na wschodni front, jednakże z powodu kalectwa pozostał na miejscu, jako zwykły pracownik gospodarczy. O tym fakcie sam opowiadał później ojcu, kiedy kupował w naszym sklepie produkty dla załogi posterunku granicznego w Nowym Folwarku, oddalonym pół kilometra od naszego domu. Pochodził z okolic Poznania i po zajęciu tych terenów, jako części Niemiec, został siłą wcielony do armii niemieckiej. Ponieważ jednak miał niesprawną nogę, zamiast na front, przydzielony został do służby granicznej. Czuł się jednak nadal Polakiem – jak wyznał ojcu. W każdy możliwy sposób pomagał Polakom, a przynajmniej starał się, aby im nie szkodzić.

Wracając do mojej pracy, jako pastucha krów u leśniczego, pana Mikołaja Franza, muszę dodać, że wszystko było dobrze dopóki dopóki pewnego wieczora, będąc w lesie, nie usłyszałem chóralnego śpiewu partyzantów, którzy gdzieś niedaleko musieli biwakować. Było już późnawo. Słońce chowało się w koronach drzew. Właśnie miałem zbierać krowy, by odprowadzić je do obory, gdy nagle usłyszałem męski chóralny śpiew. „Pod Twą obronę Ojczyzna na niebie”. Dreszcz przeszył moje ciało i nie wiem, kiedy i dlaczego pobiegłem w las, by być bliżej śpiewających. Być może miałem nadzieję, że ich zobaczę. Pamiętam tylko, że biegałem po lesie słuchając tego cudownego śpiewu. Partyzantów jednak nie zobaczyłem. W pewnej chwili zorientowałem się natomiast, że jest już prawie ciemno, a krowy nie zostały zaprowadzone do obory. Zacząłem ich szukać na polanie. Tam ich nie było. Nie znalazłem ich także w lesie. Idąc ich śladami doszedłem do wniosku, że albo same wróciły, albo ktoś je zabrał. Z duszą na ramieniu wróciłem do leśniczówki, kierując kroki najpierw do obory. Nieco mi ulżyło, kiedy zobaczyłem, że wszystkie są uwiązane przy żłobach. Pomoc domowa właśnie kończyła wieczorny udój. Spojrzała na mnie znad skopka i powiedziała: „Pan leśniczy był zdenerwowany i kazał mi iść po krowy, ale ciebie tam nie było. Krowy natomiast weszły w owies, który mocno zdeptały. Kazał mi też, abym ci powiedziała, żebyś tu już nie przychodził. Jakos sami damy sobie radę”. Zdołałem tylko powiedzieć „do widzenia” i biegiem popędziłem do domu, gdzie już mama martwiła się o mnie, gdyż tak późno nigdy nie wracałem.

Opowiedziałem ojcu o tym, co się wydarzyło. Odrzekł tylko: „Jutro to wszystko wyjaśnię. Idź spać”. I tak skończyło się moje zajęcie jako pastucha. Do sprawy tej już nikt nie wracał, tak jakby nic się nie stało. Ojciec powiedział mi tylko, że teraz będę musiał pomagać mu w pracach związanych z prowadzeniem sklepu. Głównie chodziło tu o sortowanie i naklejanie na arkuszach wycinków z kart żywnościowych, dla każdego asortymentu na oddzielnym arkuszu. Ponadto miałem obliczać dzienny utarg, sortować pieniądze oraz sprzątać całe sklepowe pomieszczenie. Po kilku dniach ojciec formalnie zgłosił w Urzędzie Gminy w Miedznie, w Biurze Zatrudnienia, że jestem jego pomocnikiem – co częściowo zabezpieczało mnie przed wywiezieniem do pracy przymusowej w głąb Rzeszy. Oczywiście nie było zupełnej pewności, ale dawało przynajmniej pewne nadzieje.

W lipcu 1944 roku zaczęła się akcja kopania rowów przeciwczołgowych w pobliżu rzek: Warty, Liswarty i Kocinanki. Najpierw tylko w niedziele. Zabierano ludzi „na ochotnika”. Zbierając ich najczęściej w godzinach nabożeństw rannych w miejscowym kościele – po prostu robiono łapankę. Żołnierze w brązowych koszulkach zajeżdżali samochodem na drogi prowadzące do kościoła, zatrzymywali mężczyzn, zwłaszcza młodych i po zebraniu odpowiedniej ilości wpychali na przygotowane już podwozy i wywozili do miejsca kopania rowów. Podwozy musiał przygotować sołtys już w sobotę, kiedy podano mu z Urzędu Gminy ilość furmanek parokonnych, do których wsadzano po 10 osób. W późniejszym czasie zabierano osoby wyznaczone już wcześniej na dalsze wyjazdy i na dłuższy pobyt. Byłem i ja na kilku takich wyjazdach. Wprawdzie praca nie była specjalnie ciężka, jako że kopano przeważnie w ziemi piaszczystej, w której rzadko spotykało się kamienie. Dokuczał natomiast upał, który w tym okresie występował niemal codziennie.

Któregoś dnia pracowaliśmy nieopodal jakiegoś potoku, będącego dopływem Liswarty. Cóż, kiedy droga do wody zamknięta była zasiekami z kolczastego drutu. Wszyscy byli spragnieni, ale nie mieliśmy dostępu do wody. Wreszcie kilku mężczyzn przyszło do mnie mówiąc: „Ty jesteś najmniejszy. Tobie będzie najłatwiej przedostać się pod drutami do wody. Zrobisz sobie małeńki podkop i przejdziesz. My zaś będziemy kopać na twoim odcinku. Wyraziłem zgodę i obładowany butelkami przeczłogałem się do potoku, skąd nabrałem wody, którą rozdzielałem łąkącym. Udawało się to kilka razy, jednakże przy którymś tam razie zauważył mnie dozorujący pracę Niemiec z SA. Kazał mi zostawić butelki i wyjść. Kiedy stanąłem przed nim, machnął obok mnie szpicrutą, nie uderzył mnie jednak i zapytał, gdzie jest mój odcinek. Kiedy mu pokazałem, ten niczym nie różnił się od pozostałych – sąsiedzi kopali równo swoje i mój odcinek Stwierdził, że wszystko jest w porządku, ale wody brać nie wolno. Rzekł: „Das ist letzte mal”. Grożąc mi palcem na pożegnanie odszedł. „Teraz będzie tu częściej przychodził”, powiedział mój szwagier, pracujący nieopodal.

Rozejrzał się po terenie i po chwili powiedział nieco ciszej: „Poszedł na inny odcinek. Wiejemy. Spokojnie przejdź do naszych rowerów, a ja jeszcze się rozejrzę. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie to wiejemy.” Odszedł. Ja również, zostawiwszy łopatę, skierowałem się ku kępie krzaków, gdzie stały nasze rowery (dla wyjaśnienia podaję, że od pewnego czasu Niemcy organizowali również wyjazdy na rowerach – zebraną grupę kolarską eskortowało przeważnie dwóch żołnierzy, również na rowerach). Po chwilce szwagier przyszedł i szepnął: „Siadaj na rower i gazem w tamte krzaki”. Wskazał mi kępę krzewów. Sam również chwycił rower i z całej siły nacisnął na pedały. Przejechaliśmy może około 50 metrów, kiedy doszedł do nas odgłos strzałów i świst przelatujących kul. Strzelano do nas, jako uciekinierów. Padliśmy za krzakami i ciągnąc rowery przeczłogałaliśmy się do niedalekiego rowu, gdzie już nie byliśmy widoczni. Nie słyhać też było strzałów. Wsiadliśmy więc na rowery i najbliższym duktem pojechaliśmy w głąb lasu. Jechaliśmy najpierw w przeciwną stronę naszej wioski, by w razie pościgu nie złapano nas. Uważaliśmy, że jeśli będzie pogoń to najprawdopodobniej pojedą w kierunku wioski. Szwagier, doskonale znający te tereny leśne, po jakimś kilometrze, łukiem okrążył drogę do Ostrów. Na szczęście nie byliśmy rejestrowani. W nadziei, że nikt z naszych współtowarzyszy pracy w okopach nie zdradzi naszych nazwisk, wróciliśmy do domu. I w taki sposób zakończyła się, znowu pomyślnie, kolejna moja przygoda z okupantem. Z każdym jednak dniem należało zwiększać ostrożność. Klęski, jakie ponosili Niemcy i zbliżający się front wschodni, powodowały coraz większe represje na Polakach. W sąsiedniej wsi powieszono ich 17, wziętych jako zakładników. Egzekucji tej musieli przyglądać się również wytypowani mieszkańcy naszej wioski. Aresztowano również kilka osób, które niebawem znalazły się w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Wszyscy odczuwaliśmy grozę, a jednocześnie radość i cichą nadzieję, że wkrótce zostaniemy wyzwoleni spod okupacji niemieckiej. Ojciec jednak tak bardzo nie podzielał naszego optymizmu. Kiedy w czasie jednej, podwieczorkowej, pogawędki szwagier wyraził swoją radość na rychły koniec okupacji i wejście wojsk radzieckich, ojciec powiedział: „Nie ciesz się tak bardzo, Józek. Diabeł wprawdzie wyjdzie, ale przyjdzie Belzebub. Ja trochę Rosję znam i wiem, czego można się po niej spodziewać.” No i niestety słowa ojca się spełniły. Już po kilku miesiącach mogliśmy się o tym przekonać. Ale to całkiem inny temat.